

LEKARZE POZBRAWILI MNIE WZROKU

„Lekarze zapłacą za to, że zniszczyli moje zdrowie! Żądam pół miliona złotych odszkodowania” – mówi Sylwia Skuza (34 l.) z Gdańska

Jeszcze kilka lat temu byłam bardzo szczęśliwą kobietą. Miałam kochającego męża, Wojtkę, cudowną córeczkę Alicję i dobrą pracę w firmie „Tristar”, gdzie pracowałam jako specjalista handlowy. Przełożeni mnie cenili, rozwijałam się zawodowo, miałam nadzieję na szybki awans. I nagle wszystko się zmieniło.

W lutym 1999 roku zaczęłam odczuwać bóle głowy. Początkowo bagatelizowałam je – brałam tabletki przeciwbólowe i czekałam, aż ból minie. Nie mijał jednak. Na dodatek wciąż chciało mi się spać. Zaczynałam czytać Alusi bajkę na dobranoc i po kilku minutach to ja zasypiałam, a nie moja 4-letnia córeczka. Mąż coraz częściej nie mógł mnie rano budzić. W pracy z trudem powstrzymywałam się, żeby nie położyć głowy na biurku i podzrezać... Choćby kilka minut.

– Może powinnaś pójść do lekarza? – zapytał w końcu zaniepokojony Wojtek.

Nie było wyjścia. Przecież nie byłam w stanie normalnie funkcjonować.

W przychodni dostałam skierowanie na badanie krwi.

– Te objawy mogą być skutkiem zmian w kręgosłupie szyjnym. A może to tylko zimowe zmęczenie... – sugerowała lekarka.

Wyniki były w normie. Ale co z tego, głowa wciąż mnie bolała. W maju znowu dostałam skierowanie na badania. Tym razem okazało się, że mam tylko 65 tysięcy płytek krwi, a nie 130 tysięcy, jak przewiduje norma.

Za namową mamy poszłam do Kliniki Hematologii Akademii Medycznej. Tam zajęła się mną doktor Maria Bieniaszewska, która skierowała mnie na konsultacje do neurologa. Ku mojemu przerażeniu, po trzech tygodniach badań zaczęto podejrzewać guz mózgu.

– Nic złego się nie dzieje – usłyszałam od lekarzy po tomografii komputerowej.

Poczułam, jakby wielki kamień spadał mi z serca. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć, co mi jest. A przecież działo się ze mną coś złego, bo dzień w dzień wyłam z bólu. Nie dawało się go znieść. Brałam potężne dawki leków, jednak pomagały na krótko.

Pod koniec czerwca 1999 roku w szpitalu zrobili mi biopsję szpiku kostnego. Po kilku dniach usłyszałam diagnozę:

– Jest anemia. To może być zatrzymanie się rozwoju szpiku. Ale na razie nie ma się czym przejmować.

Dostałam sterydy. Trochę pomogły: głowa już tak nie bolała.

„Teraz będę szybko wracać do zdrowia!” – cieszyłam się.

We wrześniu dowiedziałam się, że cierpię na coś, co nazywa się zespołem mielodysplastycznym szpiku kostnego. Nikt mi nie powiedział, co to jest, więc nie przejęłam się za bardzo tym rozpoznaniem. Dopiero, gdy dr Bieniaszewska zapytała, czy mój brat, Sebastian,



W 1992 r. byłam zdrową, szczęśliwą kobietą



Lekarze najpierw uratowali mi życie. Niestety, potem doprowadzili do tego, że jestem niewidoma

zgodzi się być dawcą szpiku, wpadłam w panikę.

– Co ze mną będzie? – pytałam, ledwo powstrzymując płacz.

– Proszę się uspokoić. Na szczęście choroba jest we wczesnym stadium rozwoju. Na tym etapie jest 80 procent szans na wyleczenie – uspokajała lekarka.

Strasznie bałam się przeszczepu, ale wiedziałam, że nie mam

wyboru. To była jedyna nadzieja, by odzyskać zdrowie.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. Jesteśmy z tobą! Zawsze będziemy! – podtrzymywał mnie na duchu Wojtek.

W tych trudnych dla mnie dniach mąż był wspaniały. Nie wyobrażam sobie, jak bym przez to wszystko przeszła bez jego wsparcia i miłości.

Okulista z Warszawy dał mi nadzieję ►

ZAPŁACĄ ZA TO, CO MI ZROBILI

DOKONCZENIE ZE STR. 13.

Przeszczep został przeprowadzony 23 marca 2000 roku na Oddziale Hematologii w Gdańsku. Udał się! Naprawdę się udał!

Boże, jak ja się wtedy cieszyłam. Byłam pewna, że to koniec mojego koszmaru. Tak jednak nie było.

Jeszcze w klinice zorientowałam się, że z lewym okiem dzieje się coś niedobrego. Trudno to opisać, ale było dziwnie suche.

– Po przeszczepie szpiku tak bywa – tłumaczył mi lekarz.

Uwierzyłam. Próbowalam nie przejmować się tym. Wróciłam do domu i powoli wszystko zaczęło wracać do normy. Mijały miesiące, a ja czułam się coraz lepiej.

– Jestem zdrowa. Moje życie zaczyna się jeszcze raz. Jest tak wspaniale! – śmiałam się i płakałam na przemian, wykrzykując swoją radość Wojtkowi i Alusi.

„Tyle czasu zmarnowałam na walkę z tym przeklętym chorobskim... Najwyższy czas wrócić do pracy!” – postanowiłam.

W styczniu 2001 roku, po uzyskaniu zgody lekarzy, pojawiłam się w mojej firmie. Zdrowa, szczęśliwa. Po tym, co przeszłam, byłam pewna, że teraz może być już tylko lepiej. I było... Do 9 maja.

Tego dnia po południu poczułam okropny ból w lewym oku. I znowu nie byłam w stanie żyć bez tabletek.

– Ma pani zespół suchego oka. Poza tym nic się nie dzieje. Ból ma podłoże neurologiczne – uznała doktor Urszula Koberda-Stodolska, specjalistka w Klinice Okulistyki w Gdańsku.

Dała mi leki, ale nie pomagały. Potem przepisała mi krople, które miałam stosować, gdy ból będzie nie do zniesienia. Trochę ulżyło. Niestety, ku mojej rozpacz, po dwóch dniach zaczęłam gorzej widzieć. Dr Koberda przeraziła

W październiku 1994 r. zostałam żoną Wojtki



Alusia i Wojtek cały czas podtrzymują mnie na duchu



się i zmieniała leki. A dr Bieniaszewska zapisała mi morfinę. Dzięki niej ból był mniej dokuczliwy, ale odczuwałam coraz silniejszy światłowstręt. Wtedy doktor Koberda wymyśliła, że muszę kupić soczewkę kolagenową. Poszukując jej, trafiłam do poznańskiej „Korwity”.

– Nie sprzedam pani soczewki, bo zmiany w oku mogą być efektem komplikacji po przeszczepie szpiku – usłyszałam od lekarki.

– To niemożliwe! Takie komplikacje występują jednocześnie w jednym i drugim oku – upierała się dr Koberda i kontynuowała własny sposób leczenia. W rezultacie, we wrześniu 2000 roku, lewe oko zmętniało, a prawe nagle zaczęło potwornie boleć.



Musi być kara!

Żadne pieniądze nie zrekompensują cierpienia tej kobiety. Mogą jej tylko pomóc w nowym, trudnym życiu. Dlatego odpowiedzialni za kalectwo pani Sylwii muszą ponieść karę.

W październiku lewym okiem nic już nie widziałam. Dopiero wtedy doktor Koberda przyznała, że doszło do powikłań. W tym czasie stan lewego oka był już tak zły, że pękła mi rogówka. Dr Paweł Lipowski, który przejął moje leczenie w Klinice Okulistyki w Gdańsku, zaproponował jej przeszczepienie.

– To oko jest bardzo zaniedbane – powiedział.

– Przecież nie chodziłam do weterynarza, ale do kliniki uniwersyteckiej! – krzyknęłam.

W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

Wkrótce okazało się, iż klinika z powodu zadłużenia ma kłopoty ze sprowadzeniem rogówki. Znalazła się dopiero po uruchomieniu moich prywatnych kontaktów.

Wtedy byłam już pewna, że nie wrócę do dawnej pracy. Zaczęłam starać się o rentę. W marcu 2002 roku poprosiłam w szpitalu o dokumentację leczenia. Była potrzebna do orzeczenia stopnia niepełnosprawności. Na okulisty-

ce nikt takiej dokumentacji nie prowadził.

– Jak to możliwe? Przecież leczysz się tam tyle miesięcy! – Wojtek nie potrafił ukryć oburzenia.

W końcu dokumentację zrobiono na podstawie mojej książeczki Rejestru Usług Medycznych.

Ciągle otrzymywałam leki na bazie opium. Były chwile, że nie bardzo wiedziałam, co się ze mną dzieje. Traciłam kontakt z rzeczywistością. Właśnie dlatego dalej leczyłam się w Klinice Okulistyki, choć przeszczep rogówki na lewym oku wcale się nie goił. Na dodatek dr Lipowski zaczął mnie namawiać do przeszczepu w drugim oku.

– Nie zgadzaj się na to! To niebezpieczne. Oni traktują cię jak królika doświadczalnego – ostrzegał mnie mąż.

A ja, głupia, nie posłuchałam go! Przeszczep odbył się 5 kwietnia 2002 roku. Naszyto mi też na lewe oko specjalną błonę, która miała je wzmocnić. Podczas operacji pracownicy Kliniki Okulistycznej skompromitowali się całkowicie. Pielęgniarki źle obsługiwały cewnik, który był podłączony do mojej żyły... Zakazili mnie gronkowcem!

Po wyjściu ze szpitala, 9 maja 2002 roku, podczas spaceru moje lewe oko pękło. Prof. dr hab. Barbara Iwaszkiewicz-Bilikiewicz, kierownik Kliniki Okulistycznej,

Potrąfię zrozumieć rozżalenie tej pani

Dr Michał Mędraś, dyrektor Akademickiego Centrum Klinicznego Akademii Medycznej w Gdańsku (Nie zgodził się na publikację zdjęcia)

– Nie mam nic do ukrycia, ale jestem neurochirurgiem, a nie okulistą, więc nie chciałbym się wypowiadać o meritum sporu. Tym powinien zająć się sąd i powołani przez niego biegli. Potrąfię zrozumieć rozżalenie pani Skuzy i to, iż poszła do sądu. Ale ona z kolei powinna zrozumieć, że ja nie mogę wypłacać odszkodowania każdemu, kto tego zażąda. Akademickie Centrum Kliniczne jest jednostką publiczną. Dlatego musi odbyć się rozprawa.

Niestety, w ostatnim czasie dostrzegam próby szukania, na siłę, zła w szpitalu. To nie jest dobry kierunek, bo podważa zaufanie chorych do lekarzy.

Żądania pani Sylwii nie są wygórowane

Adam Przała, adwokat Sylwii Skuzy



– Specjalizuję się w sprawach związanych z błędami lekarskimi. Pani Skuza sama zgłosiła się do mnie. Gdy przeanalizowałam jej przypadek, doszedłem do wniosku, że zachodzą przesłanki, które wskazują na winę ze strony szpitala. Dlatego podjąłem się reprezentowania jej przed sądem.

Na tle innych spraw przypadek pani Sylwii wiąże się z ogromem cierpienia i nieodwracalnymi zmianami w jej życiu. Z tego względu jestem przekonany, że jej żądania wobec Akademii Medycznej nie są wygórowane. Nie chciałbym jednak mówić o szczegółach, bo proces dopiero się rozpoczyna.

zszyla spojówkę i zaproponowała mi przeprowadzenie zabiegu... usunięcia oka.

– Nie, tylko nie to! Nie zgadzam się. Nie pozwolę! – krzyczałam.

Wpadłam w histerię. Miałam dość tego wszystkiego. I wtedy mama postanowiła, że zrobi wszystko, by dotrzeć w Warszawie do prof. Jerzego Szaflika, konsultanta krajowego z dziedziny okulistyki.

Dokonała cudu – w sierpniu 2002 roku profesor zgodził się nas przyjąć.

– O cholera! – powiedział tylko, gdy zobaczył moje oczy.

Po sześciogodzinnej operacji warszawscy lekarze uratowali moje lewe oko. Dziwili się, iż dostawałam tyle leków, które miały fatalne działanie.

Nigdy bym się nie spodziewała, że zostanę bohaterką pracy naukowej. A jednak! Prof. Szaflik opisał mój przypadek w poważnej publikacji medycznej. Napisał tam, że jedną z przyczyn tego, iż jestem niewidoma, był brak współpracy między hematologami i okulistami.

W Warszawie poprawiono też przeszczep rogówki w moim prawym oku. Okazało się jednak, że zaatakował je gronkowiec. W konsekwencji całkowicie straciłam wzrok.

Cały czas jestem pod opieką prof. Szaflika. Pan profesor zaproponował mi wszczepienie sztucznej rogówki do prawego oka. Dzięki temu mam odzyskać 25 procent widzenia jeszcze w tym roku.

– Będzie pani widziała jak przez wizjer – zaznaczył.

Ale dla mnie to i tak morze szczęścia! Przecież teraz zupełnie nic nie widzę.

Opinia profesora o tym, że zawnili lekarze, przyspieszyła decyzję. „Ci, przez których straciłam wzrok, muszą za to odpowiedzialność!” – postanowiłam.

Rodzina całym sercem była ze mną. Wiosną 2005 roku złożyłam do sądu pozew przeciwko Akademickiemu Centrum Klinicznemu w Gdańsku. Dr Michał Mędraś, dyrektor tej placówki, prywatnie przeprosił mnie za to, co działo się w jego klinice. Ku mojemu zdziwieniu zapowiedział jednak, że jako dyrektor będzie bronił swoich lekarzy.

Nie potrafię tego pojąć. To obrzające! Może i on to zrozumie, gdy zatrudniająca go instytucja będzie musiała zapłacić za to, co mi zrobiła.

Sylwii Skuzy wysłuchał Zbigniew Marecki

PS Poprosiliśmy o komentarz dr Urszulę Koberdę-Stodolską z Kliniki Okulistyki Akademii Medycznej w Gdańsku. Lekarka powiedziała nam:

– Ponieważ prawdopodobnie będę zeznawała podczas procesu, jaki pani Skuza wytoczyła Akademii Medycznej, nie chciałabym wypowiadać się w tej sprawie publicznie. Uważam jednak, że ta pani wyrządziła dużo krzywdy Akademii.